

WIADOMOŚCI POLSKIE

PRENUMEROWAĆ MOŻNA

w Bibliotece Polskiej, 6, quai d'Orléans.

Cena prenumeraty:

Na rok fr. 20
Na pół roku fr. 10
Na trzy miesiące fr. 5

Dziennik wychodzi co tydzień,
w **SOBOTE**.

N^o 26.

DNIA 26 CZERWCA 1858 ROKU.

PRENUMEROWAĆ MOŻNA

w Księgarni Polskiej, 20, rue de
Seine-St-Germain,
w Księgarni A. Francka, 67, rue de
Richelieu.

(Wszelkie zgłoszenia dotyczące się
niniejszego pisma, tudzież przesy-
łanie reklamacyj i listów, mają być
adresowane: à M. I. Szczepanowski,
6, quai d'Orléans, à Paris).

PRZEGLĄD PISMIENICTWA.

Już prawie dwa miesiące jak z pod prasy polskiej w Paryżu wyszła książka, o której zamilczeć nawetby obowiązek nam nie pozwalał. Opóźnienie się mimowolne pospieszamy nagrodzić. Jako plód pióra należy ona całkiem do piśmiennictwa emigracyjnego, a formą staje w rzędzie bardzo dziś licznych utworów tego rodzaju w literaturze krajowej. Jest to powieść mająca tytuł *Pułkownik* (*), powieść — jeśliby ją trzeba było ocechować — historyczna i tendencyjna, ale przytém jeszcze odznaczająca się właściwem sobie znamieniem, które zostawiając bez nazwania, chcielibyśmy szczególnież czytelnikom naszym wskazać i zalecić.

Osnowa powieści prosta, chociaż nie bez sztuki i zręczności ułożona. Pierwsza scena odbywa się w dawném województwie Łęczyckiem i w sąsiednich Kujawach, w rodzinnej ukochanej okolicy autora, gdzie ciągle jest myślą i sercem, z kąd mu wspomnienia dostarczają najżywszych natchnień, najkliwszych wzruszeń, najmilszych obrazów. Różne strony wielkiej ziemi naszej opromieniła swoim blaskiem nadobna literatura i poczyna narodowa; Kujawy, ile nam wiadomo, zostawały dotąd w zupełnym cieniu: otóż teraz i ten zakątek ukazuje się w świetle rzuconém nań z tak rzewną miłością, że pod tym względem powieść staje się niemal poematem miejscowym, epopeją kujawską. Rzecz poczyna się w roku 1791, a ma dociągnąć się do dni naszych. W téj chwili, kiedy po zamknięciu sejmu czteroletniego, z jednej strony pogodne dni majowe świecą nadzieją, z drugiej podnoszą się chmury złowrogie, kiedy między szlachtą często jeszcze w spominającą konfederacye Barską i Radomską, jątrzy się świeże rozdzielenie na stronnictwa reformy i starego stanu rzeczypospolitej, autor bierze z ławek szkoły łączycielskiej dwóch wyrostków i wyprowadza ich na pole wypadków historycznych, żeby przez całe życie aż do wspólnego dnia pogrzebu, ciągnęli nić dwoistą, na którą zamierzył sobie zniżyć zdarzenia, a mianowicie pojęcia górującego w strasznym i tajemniczym dramacie ostatniego okresu dziejów naszych.

Prokop Modliborski i Florek Berniński są tymi przewodnikami, którzy wrodzonym charakterem i dziedziczną

(*) *Pułkownik* czyli różny los dwóch kolegów szkolnych. Powieść w dwóch częściach przez LUDWIKA z KRZEWIA. Paryż, 1858, w Księgarni Polskiej, przy ulicy de Seine, 20.

niechęcią rozdzieleni, a na każdym ważniejszym kroku spotykając się z sobą, torują autorowi drogę od punktu do punktu ogólniejszych widoków. Pierwszy jest siostrzanem i wychowańcem starego szlachcica, sławnego rębacza i paliwody, stronnika jednak Konstytucji 3go maja; drugi synem zawziętego nieprzyjaciela jego, a dworzanina pańskiego domu, tradycyjnie podpierającego stronę przeciwną. Wkrótce też po za szczytłem kółkiem miejscowych kolligacyi i waśni, ukazują się ważniejsze figury opiekunów i popleczników. Z jednej strony sędziwy, zacny i rozumny Kasztelan Kujawski, ojciec chrzestny i protektor Modliborskiego; z drugiej, młody, pełen świetnych przymiotów, ale dumny i niedoświadczony, a znajdujący się na niebezpiecznym stanowisku zajętym po ojcu Wojewodzie Wołyński, mecenas Bernińskiego i jego syna Florka.

Ma się rozumieć, że powieść « niech sobie jaka chce będzie » obok najdramatyczniejszej gry wielkich interesów nie może objeść się bez mięszającego się wszędzie interesu miłości, bo jak autor słowami Pisma powiada: « Będą jedli i pili i żenili się aż do ostatniej chwili, aż do dnia sądu! » Ale potrafił on téj zużytej i oklepanej sprężyny powieścio-pisarstwa użyć bardzo zręcznie, z tym delikatnym taktem, który będąc tylko skutkiem naturalności i prostoty, zdaje się być wysoką sztuką i często ratuje go w najtrudniejszych zadaniach. Niezmiernie lekki i czysty, z tajemniczej krainy ducha wzięty, a na ziemi ledwie widomy płomyk uczucia, wystarczył autorowi na oświetlenie całej drogi swego bohatera, jakimś tęsknym a błogim promieniem, i na lutowanie rwących się czasem ogniw w łańcuchu powieści.

Na samym wstępie wypadków, Prokop z Kasztelanem znajduje się w domu Starościny, ciotki Wojewodzica właśnie natenczas goszczącego u niej. Czarne oczy Starościanki Tekluni pierwszy raz ujrzawszy szlachetną twarz Prokopa, otworzyły się szeroko, potem w innej chwili, kiedy siedział nieśmiały, wlepiły się w niego « jak w tęczę z jakąś ciekawością czy zapomnieniem naiwnem, tak często zdarzającym się dziewczynom piętnastoletnim. » Chłopiec był nieśmiały i zmięszany, cóż dziwnego? Miał już lat ośmnaście, serce czułe, duszę poetyczną, marzył czasami i czuł co piękne. « Może ten obraz, (jaki teraz miał przed sobą) wypędzi już nazawsze wszystkie inne wymarzone w wyobraźni; może zaciemni nawet wszystkie inne prawdziwe, co mu się później nawiną przed oczy? — Tak się dziwnie często rodzą uczucia na tym świecie! tak się dziwnie dzierzgają wypadki! »

Po odjeździe Kasztelana z Prokopem, Wojewodzie Stanisław, zawsze wesoty i niemal po dziecinnemu igrający z kuzynką, był cierpki, jakby zazdrośny, prześladował ją młodym szlachcicem. Teklunia na chmurzyła się, ale pani Starościny ten symptomat zazdrości nie gniewał. Na tém się skończyło tą razą, a tymczasem wypadki dzierzgające się dziwnie szły jedno po drugim.

Wojska moskiewskie opanowały kraj, przewidywano drugi podział Polski. « Rozpacz ogarnęła dobrych obywateli; rozpacz i wstyd widne były na czołach większej części Targowiczanów oszukanych przez Moskwę lub dumę własną. » Wśród tak smutnych okoliczności odbyły się w Warszawie zaręczyny Wojewodzica z Teklunią, a tegoż dnia dowiedziała się ona, że w bóje między szlachtą stary Berniński zginął od szabli wuja Modliborskiego, Florek zaś miał w ręku Prokopa jako jeńca i przywiozł do Warszawy, do pałacu swego protektora. Mocno ją obchodziła ta sprawa, była niespokojną, jak jej narzeczoną postąpi, czy jego honor nie ucierpi na tém, czy Prokopa uwolni? Ale zaledwo odważyła się wymówić jego nazwisko, Wojewodzie pospieszył jej donieść ze smutnym uśmiechem, że już jest wypuszczony. Prokop jednak miał powody mniemać, że uwolnienie swoje w znacznej części winien był Starościance, a opuszczając stolicę konno z dwoma towarzyszami, ujrzał ją w karecie z matką. Czy i ona go widziała? « Czarne oczy miała, czarnemi patrzała... » odpowiada nam autor i dodaje: « Nie wiedzieć dlaczego ta piosneczka ciągle tego dnia brzmiała w uszach Prokopowi! »

W parę lat później inne spotkanie. Teklunia była już żoną Wojewodzica, żoną kochającą przez cnotę i obowiązek, która mogłaby uwielbiać i kochać gdyby mąż miał szacunek u ludzi. « Patrzyła na niego z niewymownym żalem, bo żeby uczuć jego zgrzyotę, niepotrzeba było żadnej wielkiej, poetycznej miłości zjéj strony. » Przyszedł czas strasznych poniżeń i zawodów dla dumy. Kościuszko powstał w Krakowie... Warszawa huczała gwarem ponurym, był to wielki tydzień 1794 roku. O świtanie we czwartek miasto wstrzęsło się i wybuchło. Wojewodzie napadnięty w swoim gabinecie od zgrai naprowadzonej przez własnego lokaja, z pistoletem w ręku, podniósł dumnie czoło i postąpił na przód; Teklunia wstrzymała go za ramię i wysunęła się przed męża. Chwila była straszna i niebezpieczna. W tém dało się słyszeć stąpanie żołnierzy po wschodach, na ich czele młody oficer z pułku Działyńskiego wpadł do pokoju z dobytym pałaszem. Tym oficerem był Prokop Modliborski. « To on! — zawołała Teklunia zakrywając oczy i padając na krzesło. » Natychmiast ciżba wyniosła się z domu, Prokop nie słuchał kłopotliwych podziękowań Wojewodzica, powiedział że spełnił swój obowiązek, ukłonił się obojemu państwu i wybiegł ze swymi żołnierzami. Na odchodzących patrzył Florek z poddasza.

Wieczorem, Wojewodzie wyprawivszy naprzód przebranego Florka z pojazdami, wymknął się ostróżnie z miasta i pojechał na Wołyń. Żonę jego także wywiozła matka do Kujaw. Czekał na nie przy rogatkach wolskich porucznik Modliborski, przysłany przez Kasztelana żeby je odprowadził aż do karczmy Utraty. W ciągu drogi nie mógł ani widzieć Tekluni, która z głębi karety kiedyniekiedy tylko spójrzała mimowolnie na galopującego jezdca

lub cień jego « jakby unikając widoku, a zapewne i myśli napastujących ją dzisiaj. » Ledwo przy pożegnaniu miał sposobność ujrzeć ją na chwilkę, ucałować jej rękę cofniętą prędko, i usłyszeć słowa: « Proszę kłaniać się panu Kasztelanowi. Ja.... za was modlić się będę, niech.... was Bóg w boju strzeże! »

Pożegnanie krótkie, było na długo. Bóg strzegł walecznego Prokopa w boju na ojczystej ziemi, pod Dubienką, pod Maciejowicami; strzegł go później w wielu sławnych bitwach na ziemiach obcych, dokąd poszedł za Dąbrowskim. Dopiero po leciech dwunastu, w roku 1806, widzimy go znowu, a widzimy pułownikiem wojsk francuzkich, w okolicy rodzinnej, w domu Kasztelana Kujawskiego, gdzie się i Teklunia (bo ją autor, jak powiada, przez przywiązanie ciągle tak nazywa), na kilka godzin znajduje. Żałujemy, że nie możemy przytoczyć całej tej sceny, skreślonej z wielką prostotą i żywym uczuciem.

« Wszyscy płakali, wszyscy byli szczęśliwi, weseli, tak jak oddawna — tak jak niektórzy nigdy może nie byli... Zrazu było może cokolwiek przymusu w rozmowie Prokopa z Teklunią; ale za małe półgodzinki, te dwie czyste dusze zrozumiały się znowu, bez żadnych tłumaczeń. Rodzące się niegdyś w sercu uczucie, którego Teklunia nie pojęła dobrze, znalazło się dzisiaj — nie zapomniane wprawdzie, ale przemienione w najszczerzą przyjaźń, przyjaźń czułą, prawdziwą, dumną ze szczęśliwego wyboru... Na drugi dzień rano pułk francuzki poszedł ku Kutnu i Łowiczowi. Pułkownik był smutny. I błonia kujawskie tak ślicznie wyglądające w pogodny ranek letni, tyle słodkich obudzające z lat dziecinnych wspomnień, niepotrafiły go rozweselić. Jechał stępo przed pułkiem, prowadząc go go w świat na długie jeszcze boje, a przeczuwając w sercu sieroctwo całego życia. — W téj chwili czuł się jakimś krzyżowym rycerzem dla Polski! »

Na tém kończy się pierwsza część powieści. Autor idąc za swoim bohaterem, przeprowadził czytelnika przez ważny okres czasu, przeszedł z nim granicę, gdzie « stara Polska, z rębaczami jakich już dziś niemasz na świecie, z krzywą szabłą i kontuszem zstąpiła do grobu, a ukazali się ulani, co jak Prokop i jego towarzysze pod Samosierą, cudów dokazywali. « Było tu wiele do wspomnienia i rozważania; wszakże autor pod jednym i drugim względem pamiętał zawsze, że jest nie dziejopisem ale powieściopisarzem, starał się w akcji i obrazach wydać, co miał na myśli i sercu. Jeżeli mu się zdarzyło potracić o większy wypadek historyczny, wskazał nań czytelnikowi, westchnął i poszedł dalej. Często sam powiada: « Nie ma serca o tych klęskach, na których już tyle późniejszych grobów leży, wspominać. — Każdy Polak wyryte w sercu nosi te dnie przez tyle klęsk i tryumfów, nadziei i rozpaczy pamiętne na wieki. Tu nie ich historią się pisze. » Jeżeli chciał swoje pojęcia i przeświadczenia polityczne wyrazić, łączył je z działaniem i charakterem osób. Działanie ciągle jest żywe, zajmujące, a przy wielkiej swobodzie w karb moralnej dążności ujęte. Charaktery niektórych osób wybornie schwycone, wydane i utrzymane. Dramatyczność w scenach, obrazowość w opisach niekiedy uderzająca, zawsze odznacza się naturalnością i prawdą, do czego wiele przyczynia się niepospolity dar zachowania w stylu świeżości i prostoty mowy potocznej. Szczegóły miejscowości, domowego życia, dawnych obyczajów, roz-

sypane tu i owdzie jakty od niechęci, jakby z pamięci przepelnionej niemi, tchną jakąś wonią łąk i pól naszych, sprawiając miłe i rzewne wrażenie.

Dwa niebezpieczeństwa grożą każdej powieści historyczno-tendencyjnej, mianowicie odnoszącej się do czasów, których nasz autor zasięgnął. Naprzód, niesmak jaki pewna szkoła powieściarska w nowym piśmiennictwie naszym sprawiła do tych obrazów pijatyki i ubijatyki szlacheckiej, do tych typów z przysłowia, pary wąsów i konfederatki składanych, które przeszłość ojczyzną obróciły w odrażliwą karykaturę; potem stronniczość, jakiej łatwo się dopuścić, ulubione lub nienawistne sobie pojęcia wcielając w charaktery odpowiednio założonemu celowi tworzone. Autor nasz obu tych niebezpieczeństw szczęśliwie uniknął. Jest i u niego ta szlachta kuntuszowa i karabelna, co po dawnemu huczy, rąbie się i pije, a jednak umiał ją nam z innych stron tak pokazać, że poglądamy na nią bez wstępu, z upodobaniem, z jakimś szacunkiem synowskim. Postawił i on reprezentantów stronniactw zdobiąc jednych w przymioty, odsłaniając drugich wady, ale swego przywileju autorskiego nie nadużył, ni zbyt biało, ni zbyt czarno, dla dogodzenia swoim skłonnościom politycznym nie malował. Można niezgadzać się z nim w sympatyach, a jednak sympatyzować z jego książką, czytając zrosić ją łzą patriotycznego wzruszenia. Zkądże to wszystko pochodzi? Oto stąd, że autor brał pióro do ręki nie dlatego, żeby jako ustęp dziejowy « artystycznie obrobić » albo jaką opinią zręcznie wyfortować, ale że mu poczciwe serce polskie, przepelnione żalem, smutkiem i miłością, kazało pisać.

Zatrzymaliśmy się na końcu części pierwszej, i nie ciągnąc dalej osnowy powieści, wypowiedzieliśmy sąd o niej. Powodem do tego jest, że część druga stanowi z wielu względów całość odrębną, nawet co do formy nieco różną. Główne osoby i przywiązana do nich dwoistość znajdują się jeszcze tutaj; ale koło nich mnożą się i różnorodne interesa i widoki, które trudno pod jeden rzut oka zabrać, w jedną treść spoić. Chcąc wszystkiego dotknąć, trzeba byłoby mówić wiele, dlatego powiemy mało.

Autor zostawuje między dwoma częściami przestrzeń ogromną, z roku 1806, przeskakuje od razu na rok 1836. W przelocie tylko rzuciwszy posępne spojrzenie na Księstwo Warszawskie, Królestwo i powstanie Listopadowe, staje wśród Emigracyi, czyli raczej w Paryżu, gdzie szuka emigrantów i naprzód znajduje ich — w salonach. Później robi wycieczkę na prowincyę, żeby ztamtąd sprawdzić pułkownika Modliborskiego i stawiając go w przygotowanym otoczeniu, nawiązać rwący się ciąg i podtrzymać upadający interes powieści. Myśl główna, piękna i słuszna, myśl pokazania w nowym pokoleniu dawnego ducha ojców, dawnego rozdroża wyobrażeń, przybranych tylko w inne kształty i nazwiska, niewystarcza mu wszędzie, zamiast skupiać i ożywiać, rozstraja i ostudza dramat. Talent jego oderwany od ziemi rodzinniej, nieogrzewany ciepłym ognisk domowych, opuszcza skrzydła i stąpa nieśmiało po gruncie sobie obcym. Powieść często wpada na tor moralnego, politycznego, a nawet i teologicznego traktatu. Akcja ustępuje miejsca rozumowaniu. « Lecz argumentowanie nie apostołstwem. » Zdaje się, że autor nie dość znał Emigracyę, stał na uboczu wielkiego jej prądu, myślą tylko łapał w nim końce trzymanej za-

wsze na oku dwoistości, całym sercem nigdy się nie zanurzył. Zerwał się zresztą na przedsięwzięcie zbyt wielkie i przedwczesne. Potężny ten obraz dantejski zanadto jeszcze blizki naszego wzroku. Trzeba pewnego oddalenia, żeby jego całość objąć i zrozumieć; inaczej, dadzą się widzieć tylko rozproszone i niesforne szczegóły. To też przytrafiło się i naszemu autorowi. Wielekroć chciał dać poznać życie emigranckie, wpadł w drobiazgowość bez znaczenia; ile razy próbował cokolwiek wyższy typ emigranta utworzyć, zawsze spotykał trudność współczesności: lękał się i od prawdy odstąpić i wiernie portretować. Jeżeli pozwala sobie wyprowadzać na scenę figury znane, musi je albo jednostronnie i niedostatecznie ukazywać, albo przesuwac tylko jak cienie niewyraźne i nieme. Najczęściej poznajemy tu charaktery ludzi nie z tego co robią i mówią, ale co sam autor za nich i o nich mówi.

Charakter pułkownika szczególniej jakoś w rozwinięciu maleje, nieodpowiada naszym oczekiwaniom. Jestto bardzo zacny, szlachetny, rozsądny, dobry i czuły a w końcu pobożny, z tém wszystkiem dość pospolity człowiek. Czy to tylko spodziewaliśmy się ujrzeć w krzyżowym rycerzu za Polskę, po pół wieku wojen, powtórnym tułaczem? Jednym z najwydatniejszych rysów jego charakteru jest, że nie chce nigdy od nikogo, nawet od najbliższych krewnych i przyjaciół przyjąć żadnego wsparcia. Mieszka tedy w szczupłej izdebce, sam sobie gotuje barszcz, starannie czyści podszarżany surdut, a kupując w sklepie nowy ubior, ściśle rachuje się z groszem, bo i na cóż to? wszakże był w tandetnym piaskowym kuntu-siku, kiedy czarne oczy nań patrzyły. Wspomnienia podobnego rodzaju stanowią największą poetyczność tej sędziwej, osierocoonej starości. Widzenia się pułkownika z panią Stanisławową, należą do scen najlepiej pojętych i skreślonych.

Są jednak i w tej części inne, bardzo zajmujące i piękne sceny, są miejsca pełne wdzięku, zdrowego rozsądku i zacnych uczuć. Samo zakończenie odznacza się dramatycznością i sztuką czerpaną zawsze z tego samego źródła, które dostarcza najlepszych natchnień autorowi.

« Straszny dzień to był, kiedy po trzeci raz generał Bem starł się z nieprzyjaciółmi Polski i Węgier. Na szerokiej otwartej błoni stał zastęp polskiej jazdy. Na jego czele, kilka kroków na przedzie, siwy jak gołąb' starzec nieco schylony na koniu, z ręką spokojną na cuglach i szablą w pochwie, patrzył w przybliżające się szeregi nieprzyjacielskie po rozbiciu się węgierskiej piechoty. W tém od strony głównego sztabu Bema, zkąd jak orły z gniazda wylatywały z rozkazami posłańcy, przybiegł oficer i po polsku dał rozkaz do szarży, stając sam obok starca. « *To ostatnia moja szarża w życiu*, zawołał pułkownik dobywając pałasza, i rzucił się na moskiewskie szeregi. »

Na tej szarży kończy się publiczny żywot krzyżowego za Polskę rycerza! Tu trzeba rzucić okiem na zawód, jaki przebył jego kolega szkolny.

» Pochlebiał póty, póki mu to potrzebne było. Wziął od wojewodzica wieś ogromną na Rusi, za małą wioszczyinę w łeczyckim, przytem za jego wstawieniem się, jakież starostwo — za Targowicę. Ożenił się bogato, dorobił drugie tyle i stał się większym panem, niż sam wojewodzie. »

Pułkownik Modliborski, raniiony pod Hermansztadem,

przybył do Paryża bardzo słaby, jadąc do kwatery tak zaniemógł, że go musiano zanieść do szpitalu, gdzie otoczony najdroższymi osobami po chrześcijańsku oddał ducha Bogu. — Floryan Berniński, spanoszony na Wołyniu dorobkiewicz, grał polski w hotelu paryzkim, po dobrém śniadaniu siadając do pojazdu, padł na ulicy tknięty apoplexyą. — Orszaki pogrzebowe spotkały się w drodze do cmentarza. Za jednym szło pół tysiąca Polaków, za drugim ciągnął szereg najetych i próżnych powozów.

Nie mogliśmy ani dosyć okazać zalet, ani należyście roztrząsnąć niedostatków, jakie postrzeegliśmy w powieści, którą p. Ludwik z Krzewia z bogacił naszą literaturę. Może jednak te kilka słów obudzą ciekawość czytelników nieznających jeszcze dzieła, i pewni jesteśmy, że będą nam za to wdzięczni. Książka ta, pod względem sztuki niewątpliwie zajmuje chlubne miejsce pomiędzy znakomitszemi utworami tego rodzaju, a z innych względów zasługuje na szacunek i współczucie.

KRONIKA.

Podaliśmy w zeszłym tygodniu uwagi dziennika *Siecle* nad artykułem *Norda* z dnia 4 czerwca. Nie mógł organ rossyjski znieść w milczeniu odpowiedzi pana Texier, który w sposób równie zręczny, jak pełen godności, zburzył misterną budowę z nakreścań ortograficznych zlepioną. W odpowiedzi zaś ułożył *le Nord* nową korespondencyą z Paryża, każąc nam wierzyc, że ją napisał Polak. Zapewne znowu jaki p. Knażewicz, lub p. Kowalewski!... Tym razem jednak skromność redakcyi *le Norda* jest zbyt czułą; zasługa napisania tego listu widocznie należy się jednemu ze zwykłych jego korespondentów. Ktokolwiek nawykł do jego czytania, lub kto choć trochę zna ducha Moskali, ten od razu poznał się na tej taktyce, z jaką autor listu mawia niezemne uczucia w ludzi, o których wie, że w tej chwili bronić się nie mogą. Niechaj *le Nord* nie wypiera się: ten rodzaj polemiki zostanie podobno na zawsze jego własnością.

P. Texier z swojej strony odpowiada w słowach następujących. « Wytknąłem przeszłej niedzieli drobniutkie podstęp *le Norda*, dziennika rossyjskiego, wychodzącego w Brukseli. Korespondent wspomnionój gazety już nie wypiera się błędów pisowni, z pomocą których miał nadzieję zpokrewnić ministra Alexandra, z jednym z najzasłuższych i najznakomitszych generałów polskich, ale za to szydzi z konającego patryotyzmu emigracyi polskiej. Wistocie Austriacy taki sam zarzut robią Lombardczykom. Jest to konający patryotyzm, protestować przeciw pogwałceniu wszelkich praw i sprawiedliwości. Prawdziwa miłość ojczyzny u Włochów i Polaków, zależy na poświęceniu bez szemrania swojej narodowości. Jedni Austriakom, drudzy Moskałom powinni zrobić tę koncessyę, — a wtedy dopiero, ci co się patryotyzmu wyrzekają, zasłużyliby na imię prawdziwych patryotów!... Rozumowanie *Norda* przypomina nam słowa *Dumouriera*, który, gdy się stawiał samotny w obozie nieprzyjacielskim, zapytany przez generała pruskiego, « a gdzie są twoi żołnierze? » odpowiedział: « Zdrajcy, nie chcieli opuścić chorągwi! »

— Dochodzi nas drogą prywatną następną wiadomość z Poznania. Dnia 9 czerwca towarzystwo polskie artystów dramatycznych z Krakowa, upoważnione przez władzę, dało w Poznaniu przedstawienie dramatu *Chatka w lesie*, przez pana Syrokomłę napisanego. Sam autor znajdował się na przedstawieniu, i publiczność tak licznie się zebrała, że nie można było znaleźć miejsca. Po ukończeniu sztuki, wniesiono autora na scenę i obsypano wieńcami. Wśród powszechnej wesołości, ktoś zażądał pieśni Dąbrowskiego. Dyrektor teatru długo się opierał, przedstawiając złe skutki, jakie mogą nastąpić, ale pomimo to orkiestra musiała odegrać narodową pieśń, którą powszechny okrzyk po wielokroć przerywał. Zawiadomiony p. Puttkamer wziął się surowo do tej drobnej sprawy, rozpoczęło śledztwo,

i była obawa, że teatr, choć najniejuszniej, zostanie zmniejszony.

Cokolwiekby się dało powiedzieć na usprawiedliwienie tego rodzaju głośnych pod obcym rządem objawów, a serce polskie je łatwo zrozumieć, to jednak zdaje się wielokrotnem doświadczeniem stwierdzone, że one zawsze przeciwny najlepszym chęciom sprawiają skutek. Co podmuchnąć może chwilowy zapal, od tego nieraz wstrzymuje rozważna miłość sprawy. Bo kto chce skutecznie służyć ojczyźnie, ten nie powinien bez potrzeby utrudniać sobie drogi, już i tak nad wyraz mozolnej. Polakom jedna tylko przystoi manifestacya: cierpieć z godnością i czekać z trudem: *Fortiter agere et fortiter pati!*

— Cesarz Alexander spodziewany jest w tych dniach w Warszawie. Już pałac belwederski i Łazienki gotowe są na jego przyjęcie. Jak zwykle, tak i tą razą zapowiadają, że cesarz ma się zająć ważnemi reformami w królestwie. Obaczymy, czy wszystko się nie skończy na przeglądzie wojsk i fortec. Z ważniejszych dekretów, przewidują dekret o urządzeniu kwestyi włościańskiej. Zmiana ta ma się odbyć na zasadzie wykupu. Rząd zapłaci właścicielom pańszczyzną obligami skarbowemi bezprocentowemi, które w następnych latach częściowo w podatkach przyjmować będzie. Dziennik *Presse* paryzki nie wyświecając natury papierów, nadmienia jednak, że indemnizacya udzielona właścicielom papierami, ma być znaczna.

W prowincyach dawniej odpadłych od Polski, rząd jak wiadomo, polecił utworzenie komitetów, w których ma zasiadać po dwóch szlachty z każdego powiatu. Wybór tych deputatów jest jednakże zależny od potwierdzenia rządu. Zebrania szlacheckie właściwie tylko czterech kandydatów przedstawiają, a rząd z nich dwóch mianuje członkami komitetu. Wszystkie punkta rozbiierane w komitetach, przechodzą przez szczeble hierarchii wyższej administracyjnój, to jest, gubernatora i generała-gubernatora, którym służy prawo odrzucenia. Tak dopiero wypracowane pójdą do ministra Łanskoj, który je do sankcyi monarchy przedstawi. Ten tryb postępowania, tak szczupły i ścisłony zakres zostawiając działalności szlachty, zniechęca umysły do brania udziału w sprawie. Z niektórych listów widać gotowość przyzwolenia na wszystko, ale zarazem widać i apatyę. Nie podzielimy tego sposobu widzenia rzeczy, i mamy nadzieję, że szlachta pojawiwszy lepiej swój własny i kraju interes, zechce stłumić w sobie wszelkie uczucie niechęci i zwątpienia, aby jej praca na coś przydać się mogła, i weźmie się z dobrą wolą i gorliwością obywatelską do dzieła. Niemasz zapór, którychby z czasem przelamać nie można. W stosunkach właściciela większego z małym właścicielem, choćby nawet pośredni, niechętny wpływ się wmięszal, jest jednak wiele punktów zetknięcia, znajdują się środki dobrego czynu, które zbawienny ostatecznie skutek otrzymają.

Zdaje się według wszelkiego podobieństwa, że cesarz chce na Królestwie Polskiem, jako już znaczenie na drodze uwłaszczenia przez pół wiekowe usamowolnienie posuniętem robić doświadczenia, które w innych prowincyach następnie zastosuje.

OD ADMINISTRACYI.

Z dzisiejszym numerem kończy się drugi kwartał prenumeraty na pismo niniejsze. Życzący je nadal odbierać, przesłają przed 1^{ym} lipca w mandacie pocztowym należną opłatę fr. 5, inaczej mogą doznać przewłoki w otrzymaniu numerów dalszych. W każdym biórze pocztowem, za opłatą 10 centimów, można kupić mandat na imie niżej podpisanego.

J. SZCZEPANOWSKI.

Paryż, quai d'Orléans, 6.

Redaktor, FELIX WROTNOWSKI.

W drukarni L. MARTINET, przy ulicy Mignon, 2.